

## Marian Hemar: Od Qui Pro Quo do Wagabundy

Myślałem, że te potworne „dramatyczne” rozbebeszenia zniknęły trzydzieści lat temu z naszego repertuaru, niestety, mnie nie było w kraju, a one wróciły. Gdzie się podziały wszystkie piosenki, które napisałem przez piętnaście moich warszawskich lat? Gdzie się podziały wszystkie piosenki Tuwima? Jeśli kto istotnie z sentymentem czy respektem myśli o dawnym Qui Pro Quo, jak się ten respekt objawia? – pisał Marian Hemar w „Awanturach w rodzinie”.

Według licznika przejechałem w obie strony 76 mil, dalej niż z Warszawy do Radomia, aby zobaczyć przedstawienie Wagabundy. Nie żałuję ani jednej mili, zarówno to, co mi się podobało w programie warszawskiego teatrzyku, jak i to, co mi się nie podobało, wydało mi się bardzo interesujące. Wagabunda przyjechał do Londynu poprzedzony głośną i pochlebną famą, słyszałem o nim zachwyty nawet w Izraelu, ubiegłego roku. Cóż ciekawszego niż autentyczny i warszawski kabarecik, jeden z niewielu, jeśli nie jedyny, prywatny, nieupaństwowiony teatrzyk, coś ciekawszego niż to, co w jego programie będzie powiedziane i niepowiedziane?

Wizyty zespołów z kraju, od reprezentacyjnych teatrów, poprzez Mazowsze i Śląsk, orkiestry i drużyny bokserskie, aż do takich nadscenek, dają z reguły publiczności emigracyjnej okazję do objawienia naszej serdecznej, życzliwej gościnności. Chcemy manifestować przy każdej takiej okazji, że przyjechali nasi rodzeni

*Cóż ciekawszego niż  
autentyczny i warszawski ka-  
barecik, jeden z niewielu, jeśli  
nie jedyny, prywatny,  
nieupaństwowiony teatrzyk?*

bracia i że  
przyjmujemy ich jak  
braci, z  
pobłażliwością dla  
wad, z entuzjazmem  
dla zalet. Zanim  
podniosła się  
żelazna kurtyna na  
premierze

Wagabundy, wszyscy na sali wiedzieli, że będą bili dużo brawa i że będzie im się bardzo podobało.

Premiera udała się publiczności w całej pełni, zespołowi udała się też w dużej mierze.

Program, jaki przywiozła dyrektorka Wagabundy, Lidia Wysocka, jest nierówny. Być może, że nierówność jest nieodłącznie związana z samą istotą programów takiego typu, które układane bywają z myślą o starych i młodych, o tylnych rzędach i przednich, o sentymentalistach i cynikach tak, aby było dla każdego co innego. Wydaje mi się jednak, że nierówność programu Wagabundy była szczególnie nierówna. Niektóre numery były bardzo dobre, wręcz znakomite, niektóre tak złe, że aż krępujące.

W konferansjerce p. Rudzkiego padły na premierze bardzo miłe słowa pod adresem dawnego Qui Pro Quo, tego, jak powiedział „uniwersytetu polskiego kabaretu”. Dużo jest przyjemnej przesady w tym, co się dzisiaj, z odległości czterdziestu lat i sentymentalnych wspomnień, pisze i mówi o Qui Pro Quo. Nasz dawny uniwerek w okresie

największej świetności miewał programy złe obok dobrych, niekiedy produkował zupełne klapy. Jego zaletami była młodość, wdzięk i talenty wykonawców, dobre teksty, wesołość warszawskiego życia, dobry humor i koniunktura polityczna, jego podporą była życzliwa, ale bardzo surowa krytyka, która traktowała nas jak dorosłych, nie jak dzieci. Słuchając słów p. Rudzkiego, uprzytomniłem sobie, że jestem ostatnim żyjącym „Profesorem z Senatu dawnej Wszechnicy w Galerii Luksenburga”. Z wyżyn tej katedry całkiem inaczej wolno mi chwalić i ganić program Wagabundy.

Wśród dobrych jego punktów, na pierwszym miejscu postawiłbym Mariana Załuckiego. Serce mi rosło, kiedy patrzyłem na to jeszcze jedno zdolne lwowskie dziecko i słuchałem jego zgrabnych, precyzyjnych i jakże zabawnych wierszyków. Takie zjawiska jak Załucki są ozdobą klasycznego kabaretu, który kocha się we wszystkim, co młode, twórcze i oryginalne. Widać jak wypracowane są te wierszyki, jak je autor poleruje i szlifuje, ile w nie wkłada talentu, rzemiosła i zabawy, szuka dobrych rymów, nie zadowala się jedną puentą żartu, ale stwarza wierszyki-sytuacje, wierszyki-skecze, w których dowcip stopniuje się poprzez warianty i konsekwencje surrealistycznej logiki. Groteska jest zawsze logiczna, aż do absurdu. Wydaje mi się, że Załucki jest przede wszystkim humorystą, który widzi świat od strony śmieszności, nie satyrykiem, który patrzy od strony słuszności. Wierszyki jego zyskują w dwójnasób przez to, że autor znalazł swój własny, od nikogo nie pożyczony, nikogo nie naśladowany styl wygłaszania. Pod ten styl pisze wierszyki i robi z nich arcyzabawne przeboje, byłby ozdobą każdego kabaretu, z pewnością byłby szlagierem w dawnym Qui Pro Quo.

Bogumił Kobiela, drugi z kolei atut programu, to urodzony komik o najlepszej kabaretowej paranteli. Byłem zdumiony, jak bardzo z twarzy i nieporadnego, bezbronnego wdzięku przypominał mi młodego Lawińskiego, ponadto ma w sobie spokój i pozorną obojętność dawnego Dymyzy – nie lada kombinacja! W monologu, w którym telefonuje do sklepu, był kapitalny, nic właściwie nie robiąc, pozwalając tylko, by emanował z niego magnetyzm komizmu. Gdy od tego numeru zaczął się program, pomyślałem, że chyba czeka nas zabawa wielkiej klasy, niestety, nie zawsze czekała.

*Przecież przyczepność czy  
chwytność piosenki jest  
miarą jej wartości*

Trzecim atutem programu wydała mi się panna Koterbska. Ma na scenie śliczne oczy i ręce, i taki właśnie głos, taką

muzykalność, takie poczucie stylu i tyle wdzięku, aby być piosenkarską gwiazdą programu. Do tego dodać jeszcze piękne miedziane włosy i zmysłową gębę, i dobrą figurę, i smak w toaletach, i niestety odjąć okropne teksty piosenek, źle rymowane dłużyzny, banały bez inwencji i wdzięku. Piosenka z refrenikiem „jak to dziewczyna” mogłaby być całkiem niezła, gdyby napisana była np. o zawiedzionym chłopcu i kokieterijnej dziewczynie, ale nie ma w niej kokieterii, nie ma w niej uśmiechu czy ironii, jest tylko jeszcze jedna „tragedia z powodu żdziry”. Po całym takim występie bardzo ujmującej pieśniarki, nie zostaje w pamięci ani jedna melodyjka, ani jeden tekst, a przecież przyczepność czy chwytność piosenki jest miarą jej wartości. Bardzo chciałbym dostać pannę Koterbską na jeden rok w swoje autorskie ręce.

Najbardziej mi się podobała, gdy zaśpiewała z ogromnym wyczuciem stylu jakąś delikatną piosenkę hebrajską, z Izraela. Szczerze żałowałem, żeśmy innych jej tekstów też nie rozumieli.

P. Rudzki był konferansjerem w trochę staroświeckim stylu i robił to z dużym wdziękiem i humorem, na premierze okropna trema przydawała mu sympatyczności. Wołałbym nie widzieć go w kiepskiej parodii baletu, którą robił z p. Kobiłą. Z twarzy i sylwetki zdumiewająco jest na scenie podobny do red. Wiesława Wohnouta, ale temu już nie winien.

Dyrektorka teatrzyku, Lidia Wysocka, mogłaby być dla innych dyrektorów i dyrektorowych przykładem dyrektorskiej skromności i samozaparca: wzięła na siebie wszystkie najgorsze numery programu, zostawiając innym co lepsze. Słuchałem okropnej piosenki *Kłamiesz!* i drugiej, jeszcze gorszej, z uczuciem głębokiej melancholii. Myślałem, że te potworne „dramatyczne” rozbebeszenia zniknęły trzydzieści lat temu z naszego repertuaru, niestety, mnie nie było w kraju, a one wróciły. Gdzie się podziały wszystkie piosenki, które napisałem przez piętnaście moich warszawskich lat? Gdzie się podziały wszystkie piosenki Tuwima? Wkładaliśmy w nie tyle starania, tyle rozwagi, tyle troskliwości, układaliśmy je tak czule, tak delikatnie, żeby były wdzięczne, cywilizowane, dowcipne. Ile ich napisaliśmy dla kabaretu, do filmów, do komedii muzycznych, do politycznych szopek – trzy tysiące, cztery tysiące, pięć? Dlaczego nikt nic się z nich nie nauczył, dlaczego zasypały je piaski grafomaństwa, niechlujstwa i banału? To bardzo przykra myśl. Jeśli kto istotnie z sentymentem czy respektem myśli o dawnym *Qui Pro Quo*, jak się ten respekt objawia?

Lidię Wysocką pamiętam żywo z premiery *Pana Pickwicka* w Teatrze Polskim, w drobnej miłej rólce była prawdziwą laleczką urody, fertyczności i czar. Pamiętam ją jako aktorkę ironii, dyskrecji i dobrego smaku. Bardzo chciałbym, aby dziś w dobrej wierze przyjęła moje przyjazne uwagi. Piosenka *Takiemu troszkę pokaż pończoszkę* jest arcydziełem starego naszego kabaretu, ale cały smaczek jej zawiera się w słówku „troszkę”. „Troszeczkę” to znaczy pikanteria, powab i pokusa. Pokazywanie za dużo, pokazywanie łopata do głowy nie wydaje mi się obrazą moralności, wprost przeciwnie, nie podoba mi się jako obraza niemoralności – z czarującej piosenki niemoralnej robi się odpychająca piosenka ordynarna. Jaka to szkoda, że niezaprzeczenie zdolna i powabna aktorka nie ma nad sobą reżyserii, która nałożyłaby cugle jej talentom. Najgorszym numerem programu wydała mi się *Kwaciarka*. Straszliwy brak smaku pozwolił na to, aby w jednym prymitywnym utworze połączyć Wiecha, Szopena, tango *Voltera*, groby warszawskiego powstania i żarty pijackie w sposób tak przykry, że czułem wypieki wstydu na policzkach. Dla sprawiedliwości muszę zanotować, że ten numer programu wywołał huragany brawa.

Nie podobał mi się dziwny półfinał „ludowo-jazzowy” zrobiony bez cienia muzycznej inwencji, natomiast bardzo podobały mi się niektóre blackouty i z przyjemnością oklaskiwałem znakomitego pianistę. Pomi-mo usterek program podtrzymywany zapałem i życzliwością publiczności w sumie był zwawny, młody, przyjemny – pouczający).

Rzecz może najciekawsza, jak chciwie próbowała nasza publiczność wychwytywać z tekstów rodzinny politycznej satyry, której nie było, nie mogło być, nie powinno być i bardzo dobrze, że nie było. Niewinne żarciki, samo wymienienie słowa „towarzysze” już witane były oklaska-

*Ciekaw jestem, czy  
Wagabunda w Warszawie  
zdobywa się na jaką satyrę  
polityczną, czy wierszyki  
Załuckiego wychodzą poza  
humoreski na tematy  
budowlane czy  
gastronomiczne?*

mi, już wywoływały porozumiewawcze chichoty. Ciekaw jestem, czy Wagabunda w Warszawie zdobywa się na jaką satyrę polityczną, czy wierszyki Załuckiego wychodzą poza humoreski na tematy budowlane czy gastronomiczne? Czy

potrącają o Gomułkę, o Rosję, o cenzurę, o protest intelektualistów, o afery, o przydziały papieru? Qui Pro Quo było kabaretem satyrycznym tylko przez jeden sezon – przed przewrotem majowym, kiedy byliśmy teatrem walczącym przeciw rządowi. Po przewrocie byliśmy już teatrzykiem dworskim, teatrzykiem bebewuerskim, nasza satyra na premierów, na Dziadka, na pułkowników, była żartami dworzan i przyjaciół. Wagabunda nie mógł, nie powinien był, nie próbował pokazać nam swego oblicza satyrycznego, wprowadziłby nas tylko w zakłopotanie.

Jeden ze skeczów programu, zabawny, ale mógłby być napisany o klasę lepiej – zaprezentował p. Rudzki jako skecz z repertuaru Qui Pro Quo. Był to dialog dwóch urzędników, którzy sobie wzajemnie dają grubą łapówkę za wzajemne przysługi. Dziwiłem się, dlaczego podano ten skecz jako dawny, kwiprokwoski? Za moich czasów nie było go w naszym teatrze, Tuwim ani ja nie byliśmy jego autorami, co więcej był nie do pomyślenia. W Polsce przedwojennej nie było zagadnienia łapownictwa, nie było okazji czy powodu do takiej satyry. Insynuacja

taka mogłaby być przykra, chyba że jest pozorna. Co to znaczy? Że w dzisiejszej „ludowej” Polsce, w obliczu okropnej i nagminnej plagi łapownictwa i kradzieży, nie wolno piętnować nawet rzeczy dla państwa szkodliwych? Że trzeba je przemycać pod maską przedwojennej aktualności? Czy to nie ciekawe? Nie wolno otwarcie wyszydzać złodziei, a ja pytam, czy Moskali wolno? W każdym razie, lepiej sprostować do brodusznie, że nie było takiego skeczu przed wojną, A nuż by kto z młodych widzów wyciągnął niesłuszne wnioski?

Bardzo dobrze się stało, żeśmy zobaczyli, jak wygląda kabaret warszawski w porównaniu z naszym emigracyjnym, jak śpiewają ich piosenkarki w porównaniu z naszymi, jak nasi komicy, autorzy, aktorzy wychodzą na tle wzajemnym, w czym jesteśmy już różni, w czym jeszcze tacy sami?... Należy się wdzięczność Helenie Kitajewicz i Wacławowi Dybowskiemu za zabiegi o zorganizowanie tych występów w Anglii, zabiegi uwieńczone świetnym sukcesem. Dziwi mnie bardzo, że wobec powszechnej naszej życzliwości i gościnności dla kolegów z kraju Ognisko londyńskie odmówiło wywieszenia afisza Wagabundy w swym przedsionku. Wywieszenie afisza jest bardziej aktem kurtuazji niż reklamy. Nie odmawiano tej kurtuazji dotychczas ani żadnemu z krajowych zespołów tanecznych, ani żadnej orkiestrze, ani żadnemu muzykowi, ani teatrowi – a wszystkie przyjeżdżają pod tą samą co Wagabunda egidą, za tym samym pozwoleniem, pod tą samą kontrolą. Dlaczego tym razem Ognisko zrobiło nieprzyjemny wyjątek? Decyzja wydaje mi się niesłuszna i niemądra. Dlatego i po to jesteśmy emigrantami, aby nie godzić się na takie akty cenzury, izolacji czy bojkotu – i samemu takich aktów tym bardziej nie popełniać.

\* \* \*

Po przedstawieniu wsiadłem w samochód i długo, długo jechałem ciemną nocą, długo jechałem, dziesięć tysięcy mil i czterdzieści lat jechałem, od Qui Pro Quo do Wagabundy. I z powrotem.

*Marian Hemar*

---

Fragment pochodzi z książki Mariana Hemara *Awantury w rodzinie* (Wydawnictwo LTW, Łomianki 2008). Publikujemy za uprzejmą zgodą Wydawcy.